NASZA MYŚL

NUMER 2.
ROK IV.



SZERZY KULT
BRATA ALBERTA

OMAWIA ZAGADNIENIA
ZWIĄZANE Z IDEOLOGJĄ
DZIEŁA BRATA ALBERTA

PRZYNOSI WIADOMOŚCI Z
DOMÓW ALBERTYŃSKICH.

Kraków, ul. Kościuszki 86.

Telefon Nr. 132-48.

NASZA MYŚL

„Błogosławieni ubodzy duchem” . . .

Św. Franciszek - Brat Albert - hr. Wł. Zamojski.

(Fragment polichromji kościoła parafjalnego w Zakopanem).



Myśli Br. Alberta o miłosierdziu:

Żaden naród, ani człowiek pojedynczy nie zubożał przez wykonywanie miłosierdzia.

Za grosz Bogu dany, sto groszy dostajemy w tem życiu i żywot wieczny w dodatku, według wyraźnej Chrystusa Pana obietnicy.

Z „Przewodnika do Reguły III Zakonu”
wybrał Br. Viator.

Ks. Dr. Tadeusz Pomian Kruszyński.

MOJE WSPOMNIENIA

O BRACIE ALBERCIE jako człowieku i artyście.

(Ciąg dalszy)

Wspomnianego brata Józefa poznałem w Zakopanem już wtedy, gdy wystąpił ze zgromadzenia i przebywał tu jako p. B. „były akademik petersburski". Albertyni nie mieli wówczas ślubów wieczystych i w razie danym mogli wystąpić ze zgromadzenia. Wiele mi o nim opowiadał Brat Albert. Ów p. B. był klerykiem w Duchownej Akademji w Petersburgu, ale wystąpił i po pewnym czasie, nie zamierzając już zostać księdzem, zgłosił się do Brata Alberta. Władał on dobrze językiem hebrajskim i kilkoma innemi wschodniemi starożytnemi i nowoczesnemi europejskiemi językami. Zajął się badaniem religji buddyjskiej, ucząc się staroindyjskiego języka, to znów starochińskiego, chcąc zagłębić się w filozofji Konfucjusza. Posiadał ogromną pamięć, ale nie umiał logicznie myśleć i przerzucał się z przedmiotu na przedmiot, tak, że przy niebywałej wiedzy nie doprowadził do poważnych wyników. W Zakopanem ogłosił plakatami szereg wykładów, w ogromnej sali, na które zjawiało się po kilka zaledwie osób. Kiedy był jeszcze w Zgromadzeniu Albertynów w Krakowie na Kazimierzu, poznał Wincentego Lutosławskiego, a ten zaczął u niego często bywać, dla zasięgania wiadomości o Piśmie św. Starego Zakonu. Brat Albert wesoło mi opowiadał, jak ci obydwaj, mocno nerwowi ludzie, całemi dniami prowadzili w skromnym domku, przeznaczonym dla ubogich, głośne, gorące dysputy, jakby w uczonej akademji „przewracając cały dom do góry nogami". Wincenty Lutosławski nawrócił się pod wpływem brata Józefa, a chodził do spowiedzi jedynie do ówczesnego kanonika krakowskiego, a późniejszego biskupa Bandurskiego.

Brat Albert opowiadał dalej, że w domu na Kazimierzu polecił bratu Józefowi, jako inteligentnemu człowiekowi, wygłaszanie nauk religijnych do ubogich, a właściwie wyrzutków społeczeństwa, pijaków, przestępców i t. d., których policja odwoziła pod opiekę zgromadzenia. Raz przekonał się Brat Albert, że brat Józef z całą powagą i krytycyzmem uczonego,

omawiał najmniej do tego nadającą się symboliczno-mistyczną księgę Starego Zakonu: „Pieśń nad Pieśniami".

Kiedy chodziło o tajne misje wśród unitów podlaskich, kardynał Puzyna, w swej wielkiej gorliwości, chciał nawet wyświęcić na księdza brata Józefa, jako człowieka wykształconego, znającego język rosyjski i obeznanego ze stosunkami. Brat Józef bał się przyjąć święcenia, a Brat Albert wiedząc jak jest on niezrównoważony, obawiał się, czy odpowie zadaniom, ale nie śmiał sprzeciwiać się woli kardynała. Tymczasem brat Józef popadł w taki rozstrój duchowy, że święceń na szczęście zaniechano. Podkreślam ten szczegół, gdyż niektórzy opowiadali, że Brat Albert chciał mieć księży w swem Zgromadzeniu, lecz wiem z ust jego samego, że bał się on, by przez to jego Zgromadzenie, przeznaczone do posługi najuboższym, nie straciło prostoty i skromności, koniecznej do poświęcenia życia dla ludzi przez świat odepchniętych.

Pokój, w którym p. B. mieszkał w Zakopanem w pensjonacie, przedstawiał widok niezrównany. Wszędzie były porozrzucane książki, zeszyty i rozmaite drobiazgi. Na kanapie leżały talerze nieumyte, noże i widelce. Na krzesłach nie było miejsca, więc p. B. zgrabnym ruchem rąk zgarnął z kanapy naczynia, widelce i noże i poprosił żeby usiąść.

Brat Albert początkowo nie chciał, aby w kaplicy były jakiekolwiek ozdoby, a umieścił tylko prosty krzyż nad ołtarzem, później jednak pozwolił na skromne upiększenia, o które z takiem zamiłowaniem dbają zakonnice.

Założywszy zgromadzenie Brat Albert przestał malować, ku niezadowoleniu znawców sztuki, którzy uważali go za jednego z najzdolniejszych malarzy polskich. Usłyszałem, że później powrócił do malarstwa. Opowiedział mi, że rzeczywiście zaczął malować, ale przestał, gdyż sztuka zanadto pociąga człowieka i zajmuje czas i myśli. Było to we Lwowie, gdy zajął się malowaniem, lecz na tem cierpiał zarząd zgromadzenia, bo gdy któryś z braci przyszedł z jakąś sprawą, nie wysłuchał go, jakby należało, zapytania niecierpliwiły go, gdyż artysta ma myśli skupione około dzieła, nad którem pracuje, więc powiedział sobie, że więcej malować nie będzie. A szkoda, bo obrazy tak świątobliwego człowieka byłyby rzeczywiście wielkie, jak dziś cenione są, nawet przez niekatolików,

dzieła Fra Angelica da Fiesole, błogosławionego włoskiego dominikana.

Szczere węzły przyjaźni łączyły Brata Alberta z wielkim malarzem Jackiem Malczewskim, który umierając kazał się pochować w habicie franciszkańskim. Główną myślą Malczewskiego przez całe jego życie, była przyszłość Polski, a malując portrety, czy inne obrazy, zawsze dawał symboliczne wyobrażenia na tle, czy w rękach przedstawianych osób. Brat Albert nazywał je wesoło figlasami. Byłby rad, gdyby Malczewski malował też obrazy religijne, do czego jednak ten mistrz, pomimo głębokiej, dziecięcej wiary, nie miał zamiłowania.

Wiadomość o śmierci Brata Alberta doszła mię w czasie wojny światowej w Charkowie na dalekiej Ukrainie. Rzeźbiarz, pan S. O. wyraził się, że jeżeli w czasach obecnych mogą być święci, to był nim Brat Albert.

Wielkim artystą może być tylko ten, kto ma coś wielkiego do powiedzenia i umie to wyrazić, to znaczy kto ma szczytne myśli i opanowaną stronę techniczną. Brat Albert ducha miał wielkiego, a sposób jego malowania fachowcy wysoko cenili, mógł zatem zostać wielkim malarzem. Jeżeli nie wyzyskał na chwałę Bożą swych zdolności, to uczynił to pod wpływem głosu natchnienia, który go skierował w inną stronę, tak jak św. Franciszka, nakazując mu zajęcie się ludźmi najnieszczęśliwszymi na świecie. „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.“

Ks. Wł. Staich

Przyjaciele Brata Alberta:

Kardynał Albin Dunajewski

książę biskup krakowski.

Jednym z najbardziej oddanych przyjaciół Brata Alberta był książę biskup krakowski Albin Dunajewski. Wiadomo bowiem z jakiem zaufaniem zwracał się do niego Brat Albert, kiedy prosił o pozwolenie noszenia tercjarskiego habitu, zatwierdzenia nowoutworzonego zgromadzenia, pobłogosławienia pierwszej furki użebranych jarzyn i t. p. Wiadomo również



Kard. Albin Dunajewski.

z jaką gorliwością opiekował się wielkoduszny biskup zbożnem dziełem bogobojnego Brata, oraz jak usilnie nastawał, aby Brat Albert przyjął święcenia kapłańskie. Ubogi braciszek i dostojny książę Kościoła rozumieli się doskonale. Mieli bowiem dusze pokrewne i przechodzili podobne koleje życia.

Kardynał Albin Dunajewski urodził się r. 1817 w Stanisławowie i podobnie, jak Brat Albert, pochodził z rodziny szlachecko urzędniczej. I znowu podobnie, jak było z Bratem Albertem, wyszedł na świat niemowlęciem bardzo wątłem, które nie rokowało żadnych nadziei dłuższego życia. Wówczas

pobożna matka, zabrawszy dziecię, udała się do Kochawiny i składając ledwie żywe niemowlę na stopniach ołtarza cudownego obrazu, powiedziała: „Jeśli ma umrzeć, niechaj umiera u stóp Matki Bożej”. I tak, jak Pan Jezus w Mogile, Matka Boża w Kochawinie mile przyjęła ofiarę bogobojnej matki; dziecię ożyło i zaczęło się zdrowo rozwijać.

Szkoły średnie ukończył Albin Dunajewski w Nowym Sączu, poczem przeszedł na wydział prawny uniwersytetu lwowskiego. I tak, jak Brat Albert zamierzał początkowo poświęcić się służbie wojskowej, tak Albin Dunajewski zamierzał oddać się państwowej służbie urzędniczej. Obaj jednak prędko porzucili swoje zamiary. Pierwszego zraziło to, że miał służyć Moskalom, a drugiego, że miał służyć Austrjakom. U obu bowiem gorzała jednaka miłość Ojczyzny. Przeżywający czasy wcześniejsze Albin Dunajewski, wystąpiwszy ze służby rządowej, zwrócił się tedy tam, gdzie ta miłość Ojczyzny mogła znaleść jakieś upusty. I podobnie, jak później Brat Albert, który stanął w szeregach powstańczych, wziął bardzo czynny udział w ówczesnym ruchu niepodległościowym młodzieży lwowskiej. Skutkiem tego został uwięziony i w r. 1839 przewieziony został do strasznych kazamat więziennych w Spielbergu.

„Chodzę trochę pochyło — mówił później do przyjaciół, a między nimi i do Brata Alberta, gdy tenże na swojej drewnianej nodze do niego przykusztykał. — To pamiątka ośmioletniego więzienia w Spielbergu. Kajdana na nogach były takie ciężkie, że je trzeba było sznurem podtrzymywać, aby nogom ulżyć. Równie ciężko piszę, bo ręce także zmęczone żelazami i pisaniem gwoździem na ścianie, skoro inaczej nie było można“ . . . Umęczony więzień stanu i beznogi powstaniec rozumieli się dobrze. Ale ludzie tacy, którzy dla Ojczyzny cierpią męki kalectwa nie ograniczają się później na samych wspomnieniach. Wypominając sobie wzajemnie swoje przeszłe męczarnie, zagrzewają się tem więcej do pracy. Toteż wielkoduszny biskup najwięcej zdziałał wtedy, kiedy musiał chodzić pochylony, a Brat Albert wtedy, kiedy utykał na swojej kulawej nodze.

Po opuszczeniu więzienia w Spielbergu w r. 1848 został Albin Dunajewski sekretarzem hr. Adama Potockiego, odgrywającego wtedy ważną rolę posła ziemi chrzanowskiej w par-

lamencie wiedeńskim. Po śmierci narzeczonej jednak, postanowił zerwać ze życiem świeckiem i poświęcić się służbie Bożej. Odbywszy zatem nauki teologiczne w Krakowie, wyświęcony został na kapłana r. 1860, a w dwa lata później, jako słynny kaznodzieja i gorliwy spowiednik powołany został do Warszawy na ważne stanowisko rektora seminarjum duchownego. Tutaj jednak, w największej gorączce powstaniowej tropiony niedowierzaniem Moskali, zdołał się utrzymać tylko rok jeden, poczem wrócił do Krakowa, gdzie zrazu sprawował obowiązki proboszcza na Piasku, a później rektora seminarjum. Jako rektor i wychowawca przyszłych kapłanów zajaśniał całą pełnią cnót sługi Chrystusowego, skutkiem czego wyniesiony został w 1879 na stolicę biskupią.

W piątym roku pasterzowania biskupa Albina Dunajewskiego zjawił się w Krakowie kulawy powstaniec, artysta z łaski Bożej, Adam Chmielowski. Spotkali się dwaj nieznajomi, ale duchowo bardzo sobie bliscy. Dnia 19 stycznia 1889 r. przywrócony został biskupom krakowskim tytuł książęcy. Półtora roku później, dnia 23 czerwca 1890 książę biskup Albin Dunajewski kreowany został kardynałem. Jeden z najwyższych dostojników św. Kościoła Rzymskiego i skromny braciszek tercjarski czuli się jednak braćmi. Łączyły ich jednak nietylko podobne koleje życia i wyrzeczenie się ponęt świeckich powodzeń dla sprawy, ale także jedna wielka cnota, a mianowicie pokora. O kardynale Albinie Dunajewskim opowiadano wtedy, że chcąc uczcić jednego sędziwego kapłana-jubilata, kiedy tenże prosił o błogosławieństwo arcypasterskie, kardynał, pobłogosławiwszy starca, ukląkł przed nim i sam o błogosławieństwo prosił. — Rzymski purpurat w jedwabiach i szary braciszek przepasany powrozem, rozumieli się tedy zawsze dobrze.

Dnia 18 czerwca 1894 r. kończył kardynał Albin Dunajewski swoją ziemską pielgrzymkę. Gasnąc, ulatującym głosem szeptał słowa jutrzni: „Regem, cui omnia viount, venite adoremus“, a kiedy otaczający łoże kapłani podjęli słowa psalmu i w głos powtórzyli: „Venite aderemus“, błogie zadowolenie oblało oblicze umierającego. Podobnie umierał później Brat Albert, który się zżymał, na płacze braci, i uspokoił się dopiero wtedy, kiedy zaczęto mówić „Magnificat“.

Michalina Janoszanka.

MODLITWA.

Wieczność często zagląda w moje oczy,
A śmierć chłodnym oddechem duszę mrozi.

Czemu szpon lodowy jaźń szarpie tak okrutnie?
Przecież wieczność sprawiedliwa będzie w słońc jasności,
Co odbiciem są samego Boga. —

Tak. — — — To mogiła tylko ciemnią straszy
I wypłasza z serca nadzieji radości.

Grób opuszczony czy hekatomba marmurowa,
To pustka i samotność gorsza od samego skonu.

A jednak w pustce najłatwiej znaleźć siebie,
Bo ona zezwala strunom świętym się rozdzwonić,
Co rozgrywają się miłością.

A samotność podnosi ku szczytom
I daje tą cudowną wolność skrzydłom duszy.
Tylko przestworza niezmierzone jeszcze cyrklem
Pozwolą nam szybować górnie

Często myślę o wieczności,
Czasem podświadomie się ku niej uśmiecham,
I pochylam głowę przed tą ręką
Co mi kres żywota znaczy,

Lecz i smutno mi rzewną tęsknotą za tem co zostawię.

Pustka grobowa jest koło mnie zawsze,
Więc i grób z kamienia mi nie straszny,
Ale wolałabym, by ziemia polska na mych piersiach legła
I przykryła mnie całunem

Nie lubię grobów takich, jak buduje zwyczaj!

Lecz wobec tej powagi, która jest w tem śmierci święcie,
Wszystko inne to drobiazg.
Panie! Który stworzyłeś tą przecudną ziemię!
Kto popatrzy na kropelkę wody
I zastanowi się nad ziarnkiem piasku
Musi uznać Ciebie Bogiem.
Wszechświat tem świadectwem wyzwolonem.

Ale jeśli kiedy chcesz nagrodzić mnie przebojnie
I w niebiosa Twoje zaprowadzić duszę moją,
To choć od Twoich słońc jasności

Będę mieć olśnione oczy,
Pozwól mi z błękitnych progów
Spojrzeć choć czasem na gwiazdę zbłąkaną,
Co padołem była łez moich,
Lecz wszechmocy Twej jest dziełem.
Nie proszę, abyś duszy mojej szerokie otwierał widoki,
Nie chcę campanill świetnych, ani egzotycznych krain,
Które także kędyś ktoś ukochał.

Ty o Boże mój i Panie, — racz tylko
Uchylić wyżyn podobłocznych
I pokaż mi Polskę.

Wybacz mi mą śmiałość, że do wiecznego wesela radości
Które jest w zbawienia darze,
Do tej ludzką myślą nie objętej łaski,
Że najświętszą Matkę Twego Syna
Będzie można widzieć zbliska
I swe serce całe podścielić Jej stopkom,
Ja chcę patrzeć jeszcze
Na tę porę za Łobzowem topól
I na klasztor Norbertański.

I na stary przy Smoleńsku białodrzew
I grusze w sadzie Augustjańskim,
Kiedy kwitną wiosną . . .

I na wzgórze, na którem rozsiadł się gród
Piastów i Jagiełłów.

I na poczerniełe głazy, co Florjańską
Sklepiają bramę . . .

I gołębic pstrą girlandę nad Marjacką wieżą . . .

I na . . .

Panie! — Który sam najlepiej znasz litanję
Mych ukochań,
Jeśli kiedy raczysz mnie do swej powołać chwały
Pozwól patrzeć mi na Kraków!

R. M.

KAPŁAN-SERCE.

(Obrazek z życia ostatnich dni).

„Nie ręce, nie oczy, ale serce daje jasność miłości". Jan Wiktor.

Któż z nas nie słyszał o doli siewcy? — albo komu serce się nie wzruszy na wieść, że bezrobotni przybywają, a nędza przyczyną do rozterek i samobójstw? Każdy na swój sposób radby wprowadzać reformę, zapominając, że główną dewizą reformy — to serce.

Na imię było mu Józef, rodzice odumarli go wcześnie. Wychowywał się przy bracie i siostrze, a później, gdy wojna wybuchła, poszedł w szeregi walczących, by własną piersią bronić Ojczyzny. Ranny i w niewolę zagnany, przeszedł wszystko — młodość zwyciężała. A później z ukochaną stanął u stóp ołtarza.

Cicho, spokojnie, radośnie płynęły dni, ale wkrótce ciężar krzyża dotyka biednego sierotę; żona zaczęła chorować. Nieubłagana gruźlica podkopała organizm — żona odeszła do lepszej krainy, zostawiając w spadku pacholę 5-letnie i niemowlę w poduszce.

Bóg, który kobiecie dał serce tkliwe i kochające, jak żadne inne, zakołatał do serca siostry i szwagra, który był panem domu, by przygarnęli sierotki. I mijały dnie w tęsknocie i bólu, z pewnym żalem, że Bóg zabrał żonę. Każdej niedzieli przebiegał z fabryki kilkanaście wiorst, by uściskać swe maleństwa i chociaż drobnostką ucieszyć ich serduszka. Dzwon złowieszczy zaczął ogłaszać redukcję, dotknęła ona i Józka, ale jakoś się żyło, chociaż z każdym tygodniem mniej pracy. Nadszedł dzień smutny dla robotników huty szklanej, zamknięto ją i trzeba się było borykać z twardym losem. Ten chyba ma serce kamienne, to bez współczucia omija tych, którzy są głodni, smutni i biedni . . .

Do furty klasztornej zbliżył się Józef, ale trudno mu dzisiaj pociągnąć za krzyż furtowy, chociaż tyle razy zbliżał się do niej i zawsze odchodził weselszy. Dziś nie mógł się odważyć na zadzwonienie. Może z niejednych ust usłyszymy odgłos myśli: „pocóż ta strata czasu? co klasztor może dać?

a w dodatku żeński — klauzurowy?“ . . . Przypomnijmy sobie scenę zanotowaną w Piśmie św., że Sunamitka straciwszy syna, nie poszła do możnych tego świata po pociechę, ale pobiegła na górę Karmel, do Elizeusza, nie zatrzymując się nawet, by dać odpowiedź na zapytanie sługi proroka Giezego. Biedak wiedział, że pod białym habitem zakratowanej dominikanki bije serce kochające Boga i biednych. I wyszła do niego Siostra N. (była nauczycielka z wioski, w której żył). Po pochwaleniu Boga, popatrzył w kratę i drzącym głosem zaczął: „Siostro! przy-sze-dłem, przyszedłem by Siostra zajęła się moim chłopcem, bo.... ja.... ja już muszę raz skończyć z sobą . . . nie mogę dłużej żyć w tej nędzy“ . . . i łzy jak groch posypały się z oczu. W łkaniu bolesnem zamarła niedosnuta myśl . . . Oczy łzawe wpatrywały się nieruchomie w kraty, jak w przybytek Najwyższego . . jak gdyby stamtąd oczekiwały odpowiedzi, wyjaśnienia dla szalejących w mózgu pytań, zwątpień, przypuszczeń. Iskra elektryczna przebiegła Siostrę N. „Józiu! sądzisz, że skończysz? — nie! Ty dopiero zaczniesz swą mękę; ufaj Panu, odsuń pokusę i wiedz, że czyn twego samobójstwa wyciśnie piętno na czołach dzieci . . . Zwróć się z korną prośbą do Matki Bożej, Ona Przepotężna nad Sercem Syna, wszystko może!“ . . . W długiej rozmowie wskazywała na Boga, który przebolał wszystko co boli i na Tę, która w Różańcu św. swe serce zakuła. Powoli spokój wracał do duszy zdenerwowanego biedaka, a gdy już miał wyjść, zawołała: „Józiu! idź do grodu Jasnogórskiej Pani, do mego znajomego przyjaciela księdza, powiedz mu swe bóle, a wierzaj, że Cię zrozumie i pomoże.“ Podała mu wizerunek Ukrzyżowanego Boga z prośbą by złożył na nim pocałunek w duchu przebłagania i dodała: „nie rozstawaj się z krzyżem i z Różańcem św.!“ Siostra N. w gorących modłach polecała biedaka Panu i Tej, która jest Pocieszycielką strapionych, Matką biednych i opuszczonych.

Po dwuch tygodniach Józek znowu zapukał do furty klasztornej. Zdziwienie ogarnęło Siostrę N. gdy spoglądała na rozradowaną twarz biedaka. Jasność serca kapłana niby strzała gońca dosięgła go i przemieniła. Taki pogodny, a nawet radosny z rozrzewnieniem opowiadał, jak ksiądz doktór go przyjął, jak uspokoił. Opowiadał stojąc, dla okazania uszanowania i swej wdzięczności dla kapłana. Potęga Boga się oka-

zała w słowach kapłana, który przelał w biedaka ogrom swojej wiary i tej miłości ogarniającej świat cały, pozbawionej wszelkich osobistych pragnień. „Świat wydał mi się piękniejszym, czułem, że jestem potrzebny, a „nora“ moja, jak się wyraził, odświętnie wyglądała“ — serce kapłana to odbicie Serca Bożego, o którem Apostoł narodów wspomina.

Wzór apostolstwa wiary.

Ogłoszone drukiem na łamach październikowego „Przeglądu Powszechnego” dwa nieznane listy Brata Alberta do Chełmońskiego i Modrzejewskiej wywołały w prasie polskiej niezwykle żywe zainteresowanie. Nawet niektóre organy prasy codziennej przedrukowały je w całości nawiązując do roli Brata Alberta w Polsce i niespożytych jego zasług dla społeczeństwa.

Jest to objaw bardzo pożądany zwłaszcza w okresie przygotowywania procesu beatyfikacyjnego. Chociaż jesteśmy dalecy od twierdzenia, że sprawa ta już ostatecznie dojrzała, ale „sondowanie” prasy, która jest przecież wyrazicielem opinji i zainteresowań społeczeństwa, podtrzymuje nasze tylokrotne wyrażane przekonanie o coraz głębszem przenikaniu idei Brata Alberta i rozpowszechniania się sławy jego świątobliwego życia.

Głosy prasy mają też dla nas i to wielkie znaczenie, że unikając zbyt jednostronnego poglądu na wartości jego wielkiego ducha, odkrywają całkiem nieraz niedostrzeżone przez innych pełnowartościowe cechy jego postaci. Na dowód zamieszczamy poniżej w całości artykuł z warszawskiego „Przeglądu Katolickiego“ (Nr. 49 r. 1934), mianujący Brata Alberta apostołem wiary. Wprawdzie na łamach naszego pisemka wspomniane listy już zamieściliśmy (Nr. 6 r. III) ale uważamy, że ze względu na doskonałe wniknięcie w istotną treść listu i wypuklenie zasadniczych jego ustępów w zupełności zasługują na przypomnienie ich naszym Czytelnikom.

Redakcja.

Przegląd Kat. nr. 49 r. 1934.

W „Przeglądzie Powszech." umieszczono dwa nieznane listy Brata Alberta. Listy pisane w październiku 1880 r. gdy Adam Chmielowski tylko co wstąpił do nowicjatu OO. Jezuitów w Starej Wsi, nieświadom jeszcze późniejszej roli, jaką mu Opatrzność wyznaczyła. W latach z tego okresu widzimy wielką „gorliwość" o zbawienie dusz.

Pisze do Józefa Chełmońskiego. „Kochany Józefie! Posyłam Ci obraz Matki Boskiej, który mam po matce, powieś go nad łóżkiem, żeby ta dobra Pani, którą przedstawia, strzegła ciebie i twojego domu . . . A więc przedewszystkiem nie ufa sobie, ani że przykładem swym pociągnie przyjaciela do zwrotu na drogę Bożą. Ufa Marji, Jej Wszechpośrednictwu „dobrej Pani".

Zawezwawszy w ten sposób pomocy z Nieba, pisze dalej: „Posyłam Ci książeczkę, z której się dowiesz wielu powodów, dla jakich ludzie do zakonu wstępują — przeczytaj ją uważnie dla mojej miłości . . " — przemawia do rozumu przyjaciela, ale nie sili się na własne argumenty — pozostawiając dowodzenie autorowi „książeczki".

Dopiero teraz uderza własnym argumentem, że człowiek rozumny nie może nie wierzyć w istnienie Stwórcy, a więc: „dlatego Ci radzę, jak twój szczery brat i kolega, żebyś się ratował i poprostu po chłopsku do spowiedzi poszedł, jak możesz najprędzej: „żebyś miał grzechy czerwone jak krew, wybieleją Ci jak śnieg" — bo za nie Chrystus odcierpiał na krzyżu". Krótko, ale jakże przekonywująco!

Nalega też do pospiechu, tłumacząc, że „niema tu wiele co myśleć i rozumować, bo to są Boskie i straszne tajemnice — ani niema z temi rzeczami żartu i zwłoki — bo taka zabawa może kosztować miljardy lat męki" . . .

Dalej zaś z prostotą świętego tłumaczy o pierwiastku Bożym w człowieku, o synostwie Bożym ludzi, o ich związku z Bogiem. I znów nawołuje serdecznie: „mój drogi Józefie, jeżeli z Panem Bogiem związek zerwałeś — zawiąż go nanowo i żyj jak prawy syn Boski, bo wielka jest godność twoja jako chrześcijanina, na niebie i na ziemi" . . . Podkreśla, że kto zerwał z Bogiem — ten nawiązał z szatanem: tertium non datur!

Jakże wymownie wyjaśnia miłosierdzie Boże: „Pan Bóg wie dobrze w jakim nikczemnym garnku duszę nosimy — dlatego dał spowiedź jak krynicę, żebyśmy się w niej myli — bo życie brudzi każdego jak błoto . . . ", i tuż zaraz tę Najświętszą Tajemnicę: „dał też Ciało i Krew Syna, żebyśmy tę biedną duszę karmili — nie może dusza bez tej tajemniczej strawy żyć." Czyż można w krótkich słowach doskonalej wyjaśnić treść życia chrześcijańskiego?" Komuż wreszcie wierzyć w tych tajemnicach, jeżeli Chrystusowi Panu nie wierzyć?", co prawdę słów swoich Krwią przypieczętował.

Pod koniec listu wyjaśnia, co go skłoniło do napisania: „miłość", a czy wiesz, co to jest miłość? — Miłość jest Bóg, Duch św. jest miłość". Taż miłość dyktuje mu i surową przestrogę: „dlatego Ci radzę, żebyś dobrze pomyślał, zanim ten list do kąta rzucisz — patrz, co robisz".

I chciałby jeszcze, aby miłość, która łączyła ich w życiu, w świecie przemieniła się w wieczną przyjaźń duchową: „jesienne włókna babiego lata w łańcuch nierozerwalny".

W dopisku skierowanym do Antoniego Sygietyńskiego — znów taż troska o życie duszy przyjaciela: „dobry jest chłopiec — ale ma w głowie, jak w kotle. Katechizmu nie umie, jak my wszyscy artyści — miesza wszystko do kupy, nie wiedząc, że człowiek to nie zwierzę . . . " A dalej w kilku zaledwie słowach również doskonale wyjaśnia, co to jest Kościół katolicki: — „to nie budynek, z lichemi najczęściej obrazami — w którem się modlą często fałszywe dewotki — i wielu do niego zapisanych katolików fałszywych, gdzie znaleźć też można złych i głupich księży — ale Kościół to jest sukcesja nieprzerwana świętych ludzi, czynów i zasad, którą łączy w jedną całość mnóstwo ludzi, którzy żyli na świecie oddawna i żyją — niektórzy są w niebie i w czyścu, inni na ziemi, a wszyscy są złączeni w jednym duchu, wspomagają się wzajemnie i ze sobą komunikują. To jest Kościół katolicki — święte ciało — choć w niem dużo członków chorych albo obumarłych".

List pisany w r. 1880, gdy materjalizm z wielkim hałasem wkraczał do Polski, mianując się pozytywizmem, ale doprawdy i dziś niemniej aktualny. A jakiż doskonały wzór apostolstwa wiary. Uzbroić się przedewszystkiem w pomoc Bożą, jej zaufać za pośrednictwem Tej dobrej Pani, Matki Bożej i waszej, uzbroić się w katechizm, a nadewszystko w miłość ku braciom naszym „szalonym, biegnącym topić się w nurtach" — bezbożnictwa. Wiary, nadziei i miłości trzeba do apostolstwa — i pełnej nieufności we własne ludzkie siły, tem niemniej pełnego wytężenia ich. (—).

Z ruchu albertyńskiego:

35 lat w służbie idei Brata Alberta.

W pierwszych dniach lutego prawie bez echa minęła trzydziesto pięcioletnia rocznica pracy albertyńskiej Brata Wincentego, obecnego generalnego zgromadzenia, Br. Anioła, przełożonego zakładu wychowawczego w Warszawie oraz Brata Leona, przebywającego obecnie w domu macierzystym w Krakowie. Trzydzieści pięć lat. Zaiste znaczny szmat czasu upłynął od chwili, kiedy jako młodzieńcy, urzeczeni świętym przykładem Brata Alberta, wyrzekli się świata, by wprządnąć się w ciężką pracę posługi ubogim. Rzeczywiście praca ich była ciężką. Tak o niej twierdzą ci, którzy poznali zbliska jej warunki, bo wymienieni jubilaci ze łzą wzruszenia wspominają o swej przeszłości, o tem, kiedy to tam a tam, to a to z „nieboszczykiem" robili i co „on" im wtedy mówił Oni mieli to wielkie szczęście, że właśnie ten świątobliwy założyciel najpiękniejsze chwile ich życia swem wspomnieniem im ozłocił.

Pod jego okiem przeszli najlepszą szkołę prawdziwie franciszkańskiego ubóstwa. Stracić nic nie mogli, bo nic nie posiadali, a za to dawali dużo i dużo zyskiwali dla przyszłego życia. Jak prości robotnicy praco-

wali w Zakopanem przy budowie drogi do Morskiego Oka. Własnemirękami wznosili sławną obecnie w całej Polsce albertyńską pustelnię w Tatrach. Dziś około tych czasów tworzy się legenda, a kiedyś niewątpliwie oni wespół ze swym mistrzem będą jej bohaterami. Przecież o jednym z nich ogólnie wiadomo, jak to na zakopiańskiem kowadle kuł sztuczną nogę, czyli protezę Bratu Albertowi, drugi zaś „perpetuum mobile" niestrudzenie konstruował, tylko mu je Brat Albert zniszczył, jak to zresztą i ze swemi obrazami czynił. Trzeci znów słynie jako niezrównany inicjator górskich wypraw z całym nowicjatem. Ładny to musiał być obraz, kiedy pokaźna garstka szarych mnichów wśród turni tatrzańskich szukała Boga i uczyła się wśród wypraw hartować ducha. Odbija się w tem widoczny wpływ romantyzmu Brata Alberta, ale w wielu wypadkach charaktery nowicjuszów nabrały hartu twardych, tatrzańskich granitów. Oni wszyscy byli solą gleby albertyńskiej, fundamentem zgromadzenia. Na nich po Bogu oparł Brat Albert przyszłość swego dzieła.

Po jego śmierci nastąpił w życiu zgromadzenia okres dezorjentacji kiedy to młoda stosunkowo organizacja przechodziła różne przykre koleje i wtedy to jeden z nich, Brat Wincenty walnie przyczynił się do tego, że zgromadzenie zamiast ku upadkowi do pięknego rozwoju dążyć poczęło. On twórca znanego zakładu zwierzynieckiego w Krakowie i od początku jego kierownik dwukrotnie już sprawuje urząd zastępcy Brata Alberta.

Brat Anioł znajdował się zawsze tam, gdzie potrzeba było dobrej woli, energji, a nadewszystko dobroci i miłości, Trudno wyliczać kolejne posterunki jego pracy, bo był prawie wszędzie i robił wszystko, ale czynił to z bezprzykładnem oddaniem się i samozaparciem prawdziwie albertyńskiem.

Trzeci jubilat Br. Leon zapisał się chlubnie w życiu zakładów krakowskiego i warszawskiego, jako długoletni ich wychowawca, oraz jako mistrz nowicjuszów i przełożony tatrzańskiej pustelni.

Wszystkim życzymy z serca: „Ad multos annos" dla dobra ubogich, zgromadzenia i sławy społeczności albertyńskiej.

Życie Brata Alberta w obrazach.

Obecnie zbliża się ku końcowi przygotowanie oryginalnego wydawnictwa o Bracie Albercie. Trudno dziś przekonywać o roli, jaką w naszych czasach odgrywa dobra ilustracja i w jakim stopniu przyczynić się może do sukcesu propagandowego danej sprawy. Otóż w zrozumieniu ważności dostarczenia społeczeństwu tego rodzaju, ale prawdziwie wartościowej publikacji, przystąpił Ks. dr. Kazimierz Prażmowski, wybitny znawca dziejów Brata Alberta, wraz z prof. Zygm. Wierciakiem do opracowania ilustrowanego życiorysu.

Całość składa się z dwóch części: ilustracyjnej i tekstu. Część ilustracyjna zawierać będzie 62 ilustracyj z życia Brata Alberta w wykonaniu prof. Wierciaka. Uzupełnieniem części pierwszej będą niezwykle ciekawe opowiadania z życia Brata Alberta, opracowane przez Ks. dr. Prażmowskiego na podstawie nigdzie dotąd niepublikowanych źródeł.

Strona techniczna wydawnictwa, wykonanego na najlepszym papierze w zupełności odpowie wysokiemu poziomowi artystycznemu opracowania.

Wcześniejsze zamówienia prosimy łaskawie skierować pod adresem naszego wydawnictwa.

Echo pobytu Brata Alberta w eremie kamedulskim.

Na zaproszenie Ks. Postulatora Stefana Króla, przyjaciel osobisty z czasów jego pobytu w klasztorze OO. Kamedułów na Bielanach O. Jubilat Ireneusz, przebywający obecnie w Cameldoli obok Rzymu ze względu na podeszły wiek (83 lat) nie mogący sam wspomnień swoich skreślić, podyktował je naszemu rodakowi O. Alojzemu Poprawie.

Wspomnienia te rzucające nowe światło na ciekawy odcinek życia Brata Alberta zamieścimy w następnym numerze.

Pokłosie uroczystości warszawskiej.

Na marginesie pamiętnej uroczystości ku czci Brata Alberta i w związku z tem, przybycia P. Prezydenta Rzpltej Prof. Mościckiego pragniemy stwierdzić, że wywołała ona w całej prasie polskiej a głównie



Brat Józef, przełożony przytuliska dla ubogich w Warszawie i twórca zakładu wych. przy ul. Grochowskiej.

w stołecznej, znaczne echo. Kilkadziesiąt znacznych wzmianek w tonie niezwykle sympatycznym muszą być uważane za wielki sukces dla naszej sprawy. Na specjalne podkreślenie zasługują artykuły p. Wojciechowskiego drukowane na łamach najpopularniejszego tygodnika katolickiego „Przewodnik Katolicki" oraz w warszawskiej „Gazecie Kościelnej".

Nowy magister nowicjatu w Przemyślu.

Spowodu choroby dotychczasowego magistra nowicjuszów Br. Józefa i wyjazdu jego na kurację do Zakopanego, Br. Starszy Wincenty zamianował na jego miejsce Br. Bonawenturę, dotychczasowego przełożonego przytuliska dla inteligencji w Warszawie. Prócz tego przełożonym

zakładu stanisławowskiego został mianowany Br Przeł. Hipolit, przytuliska i zakładu w Przemyślu Br. Przeł Ludwik, przełożonym przytuliska w Warszawie przy ul. Jagiellońskiej Br. Marjan, przełożonym przytuliska w Częstochowie Br. Bernard.

Życiorys Brata Alberta w języku węgierskim.

Donosiliśmy niedawno o przygotowaniu obszernej monografji o Bracie Albercie przez P. Monike Gardner z Londynu dla społeczeństwa angielskiego, a obecnie dowiadujemy się o przekładzie życiorysu napisanego przez Ks. Władysława Staicha na język węgierski, dokonanym przez p. Irenę Bechowską, współpracowniczkę „Naszej Myśli". Przekład ten okazał się bardzo aktualny w związku z coraz silniejszą ekspanzją myśli albertyńskiej na Węgry. Jak bowiem donieśliśmy w ostatnim numerze w domu nowicjackim w Przemyślu przebywa kilku Węgrów, którzy mogą stać się w przyszłości zawiązkiem węgierskiej gałęzi zgromadzenia Albertynów. Obecnie toczą się pertraktacje w sprawie wydania węgierskiego życiorysu.

Powodzenie „Kalendarza Brata Alberta".

Mimo ciężkich warunków materjalnych dzisiejszych czasów, nakład 3-go rocznika „Kalendarza Brata Alberta" został całkowicie wyczerpany. Bezpośrednim powodem sukcesu tego wydawnictwa była w pierwszym rzędzie staranna forma zewnętrzna i bardzo ciekawa i zajmująca treść kalendarza. Następnie zaś wyczerpanie 6-cio tysięcznego nakładu świadczy bezpośrednio o wielkiej popularności w naszem społeczeństwie postaci Brata Alberta, a które w ten sposób pragnie jeszcze bliżej go poznać, jak i zapoznać się z działalnością jego zgromadzeń.

Niezwykle wymownemi są różne uwagi czytelników kalendarza, którzy w trosce o jeszcze większy rozwój tego wydawnictwa spieszą z radami sposobu redagowania, czy braków w poprzednich rocznikach. Rocznik następny poświęcony będzie twórczości malarskiej Brata Alberta i będzie zawierał artykuły przeważnie z dziedziny sztuki, opracowane przez wybitne powagi z danej dziedziny.

Kopja obrazu „Ecce Homo" dla Zgromadzenia br. br. Albertynów.

Jak wiadomo jeden z celniejszych obrazów Brata Alberta „Ecce Homo" stanowi własność J. E. Ks. Metropolity Szeptyckiego ze Lwowa. Na łamach naszego pisma wysunięto swojego czasu projekt, by rozpocząć starania o odzyskanie dla zgromadzenia Br. Br. Albertynów tej cennej pamiątki. Rozpoczęta w tym celu akcja osiągnęła połowiczny tylko sukces, bo J. E. Ks. Metropolita nie był w stanie pozbywać się dla niego równie cennej pamiątki, natomiast kazał sporządzić wierną kopję tego obrazu i ofiarował ją zgromadzeniu br. br. Albertynów. Obecnie kopja przechowywana jest w domu braci we Lwowie.

Ś. p. Brat Bernardyn.

W dniu 11 stycznia b. r. rozstał się z tym światem po długich, a ciężkich cierpieniach br. Bernardyn ze Zgromadzenia albertyńskiego. W młodym wieku zgłosił się do Brata Alberta z prośbą o przyjęcie. Po

kilku latach zrezygnował i odszedł do świata. U schyłku życia powtórnie prosił o przyjęcie i habit albertyński, by w ukochanym zgromadzeniu dokończyć życia.

Charakterystyczny szczegół z jego życia: na dwa dni przed śmiercią amputowano mu nogę i tem stał się podobny do swego Założyciela.

Pozostawił po sobie pamięć brata o bardzo wesołem usposobieniu. Niech odpoczywa w pokoju.

Odpowiedzi Redakcji.

Ks. Prof. Dr. Tadeusz Pomian Kruszyński. W związku z wydrukowaniem ostatniej części wspomnień tak barwnie i żywo przedstawiających nam wcale jeszcze nie opisane chwile życia Brata Alberta i jego zgromadzenia, Czcigodnemu Autorowi tą drogą składa serdeczne: Bóg zapłać. Redakcja.

Br. Przeł. Anioł. Za nadesłany materjał serdecznie dziękujemy. Prawie wszystko idzie z wyjątkiem art. p. Wyżykowskiego, którego ze względów od nas niezależnych umieścić nie możemy. Za pośrednictwo do S. Rozarjanny jesteśmy wdzięczni.

Sałek Franciszek, Kamionka. List otrzymaliśmy, ale wspomnianej w nim fotografji nie było. Wydrukowaliśmy bez kliszy. Dziękujemy.

Przew. Przew. Ks. Fr. Ligenzę z Bierzwiennej, Ks. Wojciecha Bogdana z Łąki oraz p. Dr. Jana Myślickiego uprzejmie zawiadamiamy o wysłaniu żądanych numerów.

Br. Tomasz ze Lwowa. Za słowa uznania i cenne zlecenie dziękujemy. Żądane wykazy i egzemplarze wysłaliśmy

S. Rozarjanna, Dominikanka z Przyrowa. Serdecznie dziękujemy. Odpowiemy listownie.

Do Czytelników.

Wobec ciągle nadesłanych nam zamówień na życiorysy Br. Alberta, opracowane przez Ks. Wł. Staicha komunikujemy, że powyższy nakład w zupełności został wyczerpany.

Na fundusz beatyfikacyjny Brata Alberta złożyli: **P. Marja Friedbergowa**, Kraków 10 zł. **P. Gawronowa,** Kraków, 5 zł. **P. Pietrański Mieczysław,** Blachownia k. Częstochowy 10 zł. Ze skarbonki w kaplicy zakładowej Kraków 2.50 zł.

BRATNI ZNAK
Pismo dla młodzieży zakładów wychow.
br. br. Albertynów.

Bezpłatny dodatek do Nr. 2 „NASZEJ MYŚLI" z marca 1935 r.

O czem wróble na dachu nie piszczą.

Specjalny reportaż sportowy „Bratniego Znaku" z irytującego meczu niby-hokejowego Szewcja-Krawcja (z dodatkiem graczy z kraju intro-aligatorów).

Znajdujemy się na dość uroczo położonym stadjonie sportowym tuż u wyjścia Rudawy do Wisły. Warunki atmosferyczne dobre, ciśnienie, jak zwykle . . . po obiedzie. Większych zaburzeń brak, a jak nas uprzejmie ktoś zapewnił podczas trwania zawodów, będzie doskonały spokój, bo (br.) Wiator przeniósł się zdołu do wyższych rejonów. Trybuny powoli się zapełniają. Między innymi zauważyliśmy dawnych naszych repów, którzy teraz z konieczności dobrą repetą się zadawalniają. Rej wodzi między nimi sławny skrzydłowy, stracony dla sportu, bo jest już dość *Starek*, a obok niego kręci się jak *Bąk* dawny pomocnik *siebie-Chwaliński,* który *Cora-z* lepiej przed niedawnym czasem zaczął się wybijać, ale przy niespodziewanym wypadku wyzwolin doznał silnego wstrząsu czaszki i zmarł również niestety dla sportu i drużyny *Szewcji.* Jak nas doszły słuchy, kierownictwo K. S. „Rumba" delegowało p. Scharfa do wciągnięcia go w wir . . . sportu antyhitlerowskiego. *Siebie-Chwaliński* nie zdradza dotąd żadnych niepokojących objawów.

Ale oto na boisko weszły już od półgodziny obie drużyny. Rozległ się skrzeczący głos *Gwizdka:* „Ja nie mam jeszcze kija". Wreszcie zawody się rozpoczęły. Inicjatywę z miejsca przejmuje *Szewcja,* która rozpoczyna generalne bombardowanie bramki, co znowu u *Krawcji* wywołuje ataki . . strachu, a u dość znacznie ro-zebranej publiczności — gwałtowne ataki śmiechu. W którejś tam minucie otrzymuje krążek gracz, przerastający o dwie głowy obie drużyny, wodząc

oczami za krążkiem, ciągnął się jak *Łyczko* ze świeżego prętu wierzbiny. Wreszcie zdobywa prowadzenie krążka do samej bramki. Niestety do środka nie wcelował, ani nawet w płot, bo krążek zatrzymał się tuż obok *Sali*, trzymającego w ręce starodawnego kalosza.

Z kolei atakują się znowu obustronnie, ale brawurowo grający w tym dniu bramkarz spod znaku igiełki wyłapuje wszystkie strzały pod-*Rządek*. Ostatecznie zdobyli mistrzowstwo gracze Krawcji, nawet mimo to, że krążek zawsze wpadał do *Siatki*, który nie chwalący się odbijał ją daleko do połowy boiska. Należy wspomnieć również o tem, że czasami z nóg i kijów tworzył się istny *Lasek*, któremu znowu zawsze do wykończenia brakło kilkadziesiąt centrymetrów.

Przechodząc do oceny drużyn należy podnieść to, że *Szewcja* okazała się wytrzymalszą w nogach, a *Krawcja* natomiast jak mogła, tak łatała dziury w swej drużynie. Najsłabiej reprezentował się z mistrzowskiej drużyny jeden z czołowych graczy, bo był bardzo *Chudy*. Ogólną sympatją cieszył się natomiast jeden z graczy, który nigdy w krążek nie zdążył uderzyć, a tylko w nogi drugiego gracza. Dlatego galerja młodszych od *Ucha* do przejmującego *Dreścika* darła się jak *Cholewa*:

— *Drop Rysiu*, a nawet bij, tylko gola nie daj zrobić!

On zaś uradowany zaczął wnet *Mazura* obracać i z tego wszystkiego wypadło *Gu-bercie* ratować sytuację. Czasami się nawet *Gwizdek* odezwał, ale nie zwracono nań uwagi, bo stał durnowato, jak *Drewniak*, a *Ziemba* już nawet nie śpiewał, ale *Ziaja-ł* ze zmęczenia. Ogólnie narzekano, że brak było jednego jeszcze z kraju *introaligatorów*, bo on mógłby zmienić pole walki. Ktoś mówił: „Gdyby tu był *Mrozicki*, ale bez *„icków,“* to wtedy pokazałby swój p . . . azur *Ślusarczyk*, który właściwie jest introligatorczykiem.

W czasie gry doszło do skandalicznego incydentu. Ktoś *Musiał* wyjść na boisko, a *Sarna* obrzuciła go śniegiem, mówiąc: „a *Pysz* stąd“. On zaś był twardy jak *Stal-cer* i odrzekł spokojnie: *Mam-carz*. Ponieważ jednak nie chciano uznać rzutu karnego, przeto jeden straszny *Gębala* zaproponował urządzić *Rogosz* nie Zebrzydowskiego, ale np. *Tarnowskiego*, a będzie istny *Raj-czyk* na boisku. Wmieszał się w tą sprawę bardzo sprytnie, jak *Szczurek*, idący pomału

Pamuła, wziął krążek jak *Bochenek* i podrzucił wgórę. Ten wyfrunął w powietrze, jak *p-Liszko* za furtę, ale już nie wrócił.

Wtedy dopiero musiał interwenjować dyktator obu drużyn, który idąc z cicha sobie *Pyka-ł* i powiedział:

— „Jak będziecie wszyscy takie nieznośne *Mądrale* i jeżeli zrobicie jeszcze jakiego *Figiela,* to będziemy siedzieć w sali i opowiadać rzeczy które w cale do *naszej myśli* nie dochodzą. To, co robicie, mnie się *nie Podoba".* Wtedy rozentuzjazmowana publika porwała go na ramiona i jakby na *Radwanie* królewskim jadąc p. *Bober* s/a/pał jak suseł, a ręką brał się do *Wąsika,* ale nawet pod kapeluszem go nie znalazł.

Wynik meczu, jak podaliśmy, powyżej obojętny na korzyść silniejszych. Stosunek boków (poobijanych) dość poważny a bramek: dwie naoścież otwarte.

P. S. Zapomniałem wcześniej zastrzec prawo wyłącznego czytania reportażu dla domowników zakładu zwierzynieckiego i wyjątkowo ich przyjaciół, co zatem na tem miejscu czynię.

JANUS.

ŻYCIE ZAKŁADOWE:

List histeryczny z Warszawy p. t.

Po eksmisji Jagiellońskiej.

Hallo — tu pisze Warszawa. Nareszcie. Co się stało? — Warszawa pisze, bez przypominań, bez próśb. Ostatecznie kończą się te antagonizmy. A może to tylko żart?

Eh,.. nie. Warszawa bierze się naprawdę do pracy. Było tu trochę wielkiego bałaganu, ale chwile drogie dla nas, sypią się jedna za drugą na nasz zakład, rugują go powoli, wprowadzają ład, spokój, harmonję zgodnych poczynań. Bo od czasów „eksmisji jagiellońskiej" zrobiono postęp olbrzymi. Zaasymilowaliśmy się na Grochowie na dobre. Zakład huczy od rana do nocy. Jak nie orkiestra — śpiew, nie śpiew — to hockej lub piłka nożna. Ale wszystko postępuje w swoim porządku.

Jedną z większych atrakcyj w naszym zakładzie było granie jasełek. Pierwszy raz w nowym domu, no i... w okolicy. W przeddzień organizatorzy wróżyli sobie... z palca, troszcząc się o frekwencję, zainteresowanie, a szczególnie o kasę. Afisze malowano na gwałt, bo słusznie brat przełożony zauważył, że jeszcze nie zarobiliśmy ani grosza, a już mamy wy-

datki. 4 afisze musiały starczyć na 4-ro kilometrową ulicę Grochowską, Skutek? Wprost nie do uwierzenia. Masa Grochowiaków, -ek i -ątek ściągnęło do nas na 5-tą. Sala po sufit wypchana. Drugie tyle gości odeszło od kasy ze skwaszonemi minami. Gramy w czwartek, sobotę, dwa razy w niedzielę i resztę świąt z rzędu.

Podbiliśmy Grochów. Zakład nasz stał się niejako lokalną operą. Lecz wnet coś zamąciło werwę i radość jasełek: — strzały w „dziesiątym pawilonie". Przedstawienie to zorganizowane zostało przez br. Józefa, contra „najeździcom krakowskim", bo takie mamy tu miano. Miałem pisać dawno o tem, ale lennicy nie wzniecają żadnych rewolucyj, lecz nawet współpracują z nami i dają na złość nam „Dziesiąty pawilon". Ludzi napchane po brzegi... ale na dwóch pierwszych ławkach.

Ale koniec temu wszystkiemu, bo coś knują po zaułkach. Br. Przełożony z p. Lipińskim stale radzą i naglą. Tydzień czasu do imienin P. Prezydenta, a tu niema (wykryła się tajemnica) albumu. Wreszcie zaglądam raz do przybytku p. Lipińskiego i o dziwo... W pięknym futerale leży amarantowy album ze złoconym ornamentem i piękna, umieszczona w środku, płaskorzeźba w drzewie. Ładna rzecz, tylko bez podpisów pod fotografjami, które fabrykuję w nocy z Br. Przełożonym. Na rano album gotów.

Delegacja złożona z sześciu paradnie ubranych wychowanków idzie na Zamek, by złożyć Dostojnemu Solenizantowi życzenia wraz z darem, a reszta idzie do opery na balet, grany dla zakładów z okazji Imienin P. Prezydenta. 3 godziny owacyjnego zachwytu. W operze dawano tradycyjne słodycze. Dobre to, bo słodkie, ale tak rzadko i mało.



Ilu nas jest w Warszawie.

Wszystko powoli staje się nudne. Dlatego szukamy czegoś nowego, bardziej emocjonującego. Mamy przecież kino u siebie, niewykorzystane od dawna. Więc puścimy od niedzieli kino. Mniej przytem będzie inwalidów — więcej marzycieli. Ale gdy to się skończy?

Będzie lato — wakacje — radość, swoboda... Lecz to tak daleko...

Najeździca.

Wielkie chwile w małym zakładzie.

List z Kamionki.

Dnia 25 października 1934 r. na terenie naszego zakładu odbyła się piękna uroczystość z okazji pierwszych wyzwolin. Skromną tą uroczystość, ale tak pamiętną dla nas zaszczycili swoją obecnością: JWP. Starosta Niżankowski z małżonką, Pani dziedziczka Rymarkiewiczowa z Niedzielska, Delegaci z Wydziału Powiatowego oraz Przew. Brat Starszy Wincenty, generalny przełożony Br. Br. Albertynów z Br. Przeł. Aniołem. Dostojni goście zwiedzili kapliczkę zakładową, urządzenia zakładu oraz wystawę prac wychowanków a następnie odbyła się właściwa uroczystość wręczenia dyplomów czeladniczych wyzwolonym wychowankom.

Przemawiając w serdecznych słowach P. Starosta życzył wyzwoleńcom szczęśliwej przyszłości i spełnienia wszelkich zamiarów a kierownictwu zakładu dziękował za troskliwą opiekę nad młodzieżą. Następnie wręczył p. Starosta dyplomy czeladnicze wychowankom z warsztatu krawieckiego: St. Pagaczowi, Fr. Mikołajczykowi, Edwardowi Fryzłakowi, a z warsztatu szewskiego: J. Staszczakowi, Fr. Obersztynowi, K. Makiele i J. Pliszczyńskiemu.

W przemówieniach wychowanków a przedewszystkiem Gości zgodnie podkreślano piękny rozwój tej wychowawczej placówki, co bezwzględnie należy przypisać zasłudze Br. przeł. Tadeusza, jego niezmordowanej pracy i wielkiemu zamiłowaniu.

Żywiołowemi okrzykami żegnani odjechali goście w naszych sercach pozostawiając miłe wspomnienia wielkiej chwili.

Sałek Franciszek.

Dział B. Wychowanków.

Z krakowskiego Koła.

W pierwszych dniach tegorocznej wiosny zbiorą się po raz czwarty członkowie krakowskiego Koła B. Wychowanków Albertyńskich na doroczne walne zgromadzenie. Wspominać będą o chwilach razem przeżytych w Kole i snuć miłe projekty na przyszłość. Wybiorą z grona swego kolegów dobrze im znanych, którzy braterską organizacją znów przez okres jednego roku kierować będą.

Chwila walnego zebrania, to dla organizacji rachunek sumienia. To nie mydlenie oczu ad hoc zebranemi cyframi statystycznemi, ale sumienne zdanie sprawy przez Zarząd z przebiegu pracy i wyliczenie się skrupulatne z obowiązków i zaufania, jakiemi organizacja ich obarczyła i obdarzyła. Koło krakowskie do rocznego bilansu pracy staje z pokaźnym kapitałem wspomnień razem mile spędzonych chwil przy pracy lub zabawie. Radością napawa nas coraz dalej idąca konsolidacja w łonie członków i prawie rodzinne zżycie, które u obcych wywołuje podziw i uznanie. Jesteśmy i czujemy się braćmi — i to nas cieszyć powinno. A co smucić? Chyba tylko to, że Koło nasze nie skupia wszystkich nas, którzyśmy z jednego gniazda-zakładu wyszli. Smuci nas fakt, że wyciągniętą przez nas rękę do współpracy niektórzy odrzucili z lekceważeniem, tłumacząc

swój krok różnemi względami, o których nawet wspominać nie warto. Oni szukali u nas tego, czegośmy nie mieli, ale daru serca i przyjaźni przyjąć się wzbraniali. Temu jednak się nie dziwmy, bo w najlepszej rodzinie są różni bracia i ci różnią się usposobieniem, a przedewszystkiem rodzajem i wielkością uczucia. Jeżeli jednak tacy sądzą, że na to istnieją, by im tylko samym było dobrze, to nawet lepiej, że od nas odeszli. My razem chcemy być szczęśliwi.

U kresu trzeciego etapu naszej wspólnej pracy dla pamięci i zachęty innych, kilka słów z przeszłości, kilka ciągle odżywających w nas wspomnień.

O pracy sekcji amatorskiej niech mówią tytuły wystawianych sztuk Walkowe kochanie — Kominiarz i młynarz — Szpital warjatów — Jak kapral Szczapa dostał się do raju — Piosnka wujaszka — Poseł czy kominiarz — Ach to Zakopane. — Trójka hultajska.

Kierownikiem sekcji był dobrze zasłużony dla sceny Koła: Franczyk Antoni.

Początek lutego upamiętnił się dwoma imprezami sekcji:

Herbatka. Wieczorem, 2 lutego w lokalu Koła zebrali się „amatorzy". Ktoś taszczy superheterodynę, by wesołą lwowską falą uprzyjemnić wieczór „bandzie zwierzynieckiej". Niestety nie złapał nawet porządnej muzyki tanecznej, a tylko piski i gwizdy. Dużo wszyscy mieli sobie do powiedzenia, ale bardzo mało mówili. Nauczyli się porozumiewać słowami „cudzemi", wyuczonemi na scenie, na deskach, ale tu przy stole.., bez suflera... dość trudno im to przychodziło. Dopiero po herbacie, po ciastkach — jakoś się wszystkim języki rozwiązały, ale wtedy sufler — jak twierdzą niektórzy — zaczął grać główną rolę bawienia i złoszczenia gości i to właśnie ze statystami. Ktoś grał na patefonie, ktoś tańczył walca, ale wszyscy z tego wieczoru byli zadowoleni. Z radości ktoś wyrósł jak piec wysoko, a ktoś, kto chciał być bardzo poważny, zrobił z siebie „jury". Finał był też niezgorszy, jak i „wycieczka" na stołkach do Czerny ze śpiewami.

Pamiętny na długo pozostanie **kulig**. Siwy konik dość późno zaczął ciągnąć długi sznur saneczek z „amatorami". Pociąg popularny z wagonami od A do G. Kierownik pociągu najlepiej się wykierował na końcu, kiedy ani nogą ruszyć nie mógł i w dodatku sanki połamał. Wprawdzie jechał z kuligiem stolarz — jako pomoc techniczna, ale właśnie on wszystko popsuł zamiast naprawić. Szybko pozostały w tyle Bielany, Piekary, Kryspinów i ukazały się Liszki — cel naszej wycieczki. Tam na miejscu krótki posiłek i każdy myślał o powrocie, chociaż nie był on taki łatwy, Więcej „uduchowione" duchy zwiedzały rynek lisiecki, taki starodawny i taki miły przy dotknięciu stopą. Tam doszła nas sztafeta narciarska. Kochani koledzy żałowali nas mocno, a my ich, że przyjechali zapóźno.

Ach, te Liszki... a raczej chciałem pisać, że wieczorem graliśmy: „Ach, to Zakopane".

Władig.

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Wydawca: Brat Wincenty, Albertyn.

Za redakcję: Br. Viator — Za administrację: Figiel Władysław.

Drukarnia „Róż św. Teresy" Kraków, Dolnych Młynów 3.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Adres zwrotny: „Nasza Myśl" Kraków, ul. Tad. Kościuszki 86.